

## JACEK OSSOWSKI ur. 1929; Lublin



<b>Tytuł fragmentu relacji</b>	Stare Miasto
<b>Zakres terytorialny i czasowy</b>	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
<b>Słowa kluczowe</b>	Stare Miasto, ulica Jezuicka, Dominikańska, plac po Farze

### Stare Miasto

Bardzo lubiłem chodzić właśnie na ulicę Grodzką, na Rynek Starego Miasta, bardzo mi smakowały bajgle, które nie wiem kto to piekł, ale w każdym razie to były w koszykach sprzedawane, przeważnie Żydówki sprzedawały te bajgle, to one były w olbrzymich ilościach – pełny koszyk i to było wspaniałe – do dzisiejszego dnia czuję ten smak, ale w każdym razie nigdzie nie mogę znaleźć takiego smaku jaki one miały – te bajgle. Były bardzo dobre również „plecionki” takie sprzedawane, zresztą pachniało cebulą ze względu na to, że oni bardzo dużo tych cebularzy piekli, tych piekarni było kilka, nawet jedna piekarnia była właśnie na ulicy Jezuickiej, przy końcu, bardzo blisko Bramy Krakowskiej. Był również prawie że przylegający sklep, to się nazywało sklep, ponieważ tam były owoce i słodczyce, lody, nie w rożkach, tylko takie w dwóch plasterkach nakładane łyżką, to się nazywała sodówka. Ona była bardzo blisko, jak się idzie w stronę Krakowskiego Przedmieścia to jest po prawej stronie przy samej Bramie Krakowskiej. Teraz tam jest przejście na podwórze. To właśnie pamiętam. Tutaj również, blisko Bramy Grodzkiej, też to bardzo lubiłem, to sprzedawali makagigi. To były takie plasterki wielkości pudełka zapalek, mak, nie wiem z czym to było, ale to było bardzo dobre również. W samej Bramie Grodzkiej były sklepy. Te sklepiki to były przeważnie bardzo małe, na jedną osobę. Nawet ta sodówka, która była to było wyjęte wszystko w zasadzie przed sodówką, a tak to był bardzo maleńki sklepik i bardzo wąski, bo przecież to nie było tak jak dzisiaj, że są sklepy olbrzymie, tylko to były klity, w których dwie, trzy osoby to już było bardzo dużo. Pamiętam, że rodzice mi uszyli również, bo tam było bardzo dużo zakładów krawieckich, nie pamiętam jak się nazywał ten krawiec, który uszył mi ubranko, ale w każdym razie tam właśnie też szyli ci krawcy. Kiedy weszli Niemcy, Żydzi chronili się napisem „tyfus plamisty” i z tą wszą taką olbrzymią i bali się Niemcy wchodzić, ale – co tu dużo mówić – tu było bardzo biednie. To byli ludzie tak biedni, że ja jak do dzisiejszego dnia pomyślę o tym, to mnie serce boli. Byli też ludzie bogaci. Taki pan Knajdel, który miał fabrykę perfum tutaj właśnie, potem – nie pamiętam nazwiska, obok pod 17 była Żydówka, miała bliźniaki, bardzo ładne takie, bo to były jeszcze maleńkie dzieci, ale w każdym razie ona była taką dość zamożną osobą bo ona była dentystką, robiła protezy, miała dość duże możliwości zarabiania pieniędzy. Ja bardzo często tu przychodziłem na Plac po farze. Tu nie było schodów ani takiego zejścia, tu była góra taka obrośnięta takimi krzakami. On mało co się zmienił. Chyba przed samą wojną były odkrywane fragmenty tego kościoła (św. Michała), a tak to Plac nie miał takiego szerszego znaczenia, bo tam jednak zawsze ci ludzie coś tam

swojego starali się wstawić. Ale nic tam nie było. Wydaje mi się, że jednak był kult tego kościoła i nic się tam nie działo. Pamiętam odkopane fundamenty tego kościoła, pamiętam, że nawet interesowało mnie to bardzo, bo tam były kości, były czaszki, a to dla mnie było bardzo ciekawe. Z Placu po Farze widać było ładnie dzielnicę żydowską, typowe, drewniane miasto żydowskie. Do tego stopnia, że kiedy w 1954 roku, na 10-lecie Polski Ludowej puścili wówczas spychacze. I ludzie chodzili, wybierali, czasami ktoś świecznik znalazł... takie tam różne rzeczy. Nie było tego wiaduktu co dzisiaj jest, na chodniku były kocie łby. Był tam handel, ludzie chodzili z tymi tacami przed sobą - tam były makagigi, bardzo dużo tych takich ludzi, głównie to byli ci, którzy mieszkali w tych drewnianych domach, to oni chodzili tutaj blisko Bramy Grodzkiej. Naprzeciwko w zasadzie Bramy Trynitarskiej była drukarnia żydowska i tam pamiętam, że była jakaś kobieta, która była związana z tą drukarnią, to była chyba jakaś członek rodziny tych właścicieli drukarni. Ta Żydówka zawsze siedziała na tym kamieniu nieszczęścia, który tam jeszcze do dzisiejszego dnia jest jeszcze niedaleko. To było bardzo malownicze, dlatego, że ta cała ulica od właśnie Bramy Trynitarskiej do Bramy Krakowskiej to były właśnie małe sklepy, małe zakłady i szewskie i zakłady krawieckie i po prawej i po lewej stronie, oni tam głównie zamieszkiwali. Bo tutaj znowu, ta strona, od Bramy Trynitarskiej do Teatru Lalki i Aktora no to tam była tak: głównie tam była octownia pana Waniewicza, siostra była Gwoździwska, później była masarnia, ale nie pamiętam, to chyba nie była Żydowska, dalej był sklep, też nie żydowski, tylko państwa Pozorskich. Przy samym, tam gdzie teraz obecnie Teatr Lalki i Aktora ma chyba księgowość tam była, to się nazywało ... Jatka końska. Tam się oni zaopatrywali bo to była tanio, konina była tania, oni (Żydzi) tam przeważnie kupowali. Ja pamiętam, że kupowali kiełbasę długimi takimi kawałkami. Pamiętam tylko jeszcze, że na tej ulicy Jezuickiej gdzie ja mieszkałem, że bardzo sobie przypominam dobrze jak jeździł, to przeważnie Żydzi jeździli i on wymieniał – to znaczy kupował szmaty, za te szmaty czy za papier można było dostać garnek i tam różne inne rzeczy. Myśmy tego nie robili, ale pamiętam to, bo mnie interesował ten wóz ja przyjeżdżał obwieszony tymi garnkami, tymi szmatami, później załadował też te szmaty, tak że mnie interesował cały ten handel uliczny. Nikt nie miał żadnych kłopotów ze sprawieniem sobie szyby czy czegoś innego, bo można było załatwić sobie szklarza. Szklarze stali przeważnie pod Bramą Krakowską od strony Krakowskiego. Oni tam stali, mieli takie nosidła gdzie są szyby, mieli ten kit i to wszystko. I on przychodził do domu z tym takim olbrzymim na plecach, z taflami szklanymi i robił wszystko od razu. Tego było dużo takich tych szklarzy. Poza tym, często, do dzisiejszego dnia się jeszcze zdarza, że jest czasami, czasami ktoś, kto ostrzy noże. I tak też przychodził na każde podwórce, dzwonił tym tym, "ostrzę noż" i czasami mama mówiła do naszej służącej: "proszę naostrzyć te noże" i on ostrzył te noże. Bo w zasadzie dawniej to się nic nie robiło samemu. Wszystko się oddawało do krawca, do szewca. Zrobienie czegoś, przeniecowanie, przerobienie, wszystko ci Żydzi zrobili za grosze i poza tym robili szybko, żeby tylko zarobić i ich w ogóle życie było bardzo ciężkie i oni starali się zarobić każdy grosz. Oni wychodzili na zewnątrz bardzo często. Jak tylko ktoś stanął przy wystawie, prosili o to, żeby wejść, żeby chociaż zobaczyć i później już było trudno się z tego sklepu wycofać, żeby niczego nie kupić. Ci Żydzi, to byli tacy rzemieślnicy, że coś pani potrzebowała zrobić, coś zamurować, czy jakiś tynk położyć, czy coś w tym rodzaju, oni szukali tej pracy. Ich było bardzo dużo i ciężkie mieli życie, a wówczas niełatwo było znaleźć pracę. Te konie były, dorożki, dość dużo było tych żydowskich dorożek, były furmanki, takie maleńkie, te konie były bardzo biedne, niedożywione, bo oni nie mieli nawet z czego utrzymać tego konia, ale łatwo było mu poprosić "wywieź śmiecie", bo wtenczas się nie wywoziło jak teraz MPO wywozi, tylko się brało takiego robotnika żydowskiego, on przyjeżdżał i brał te śmiecie wywoził. Gdzie wywoził – to ja nawet nie wiem, bo nie interesowałem się wtenczas tym, ale w każdym razie do nich to należało. Następnie: ulica Dominikańska, to było znowu dom dla dziewcząt, tak że nie było Żydów. To było siostr. W środku, tam gdzie Teatr Lalki i Aktora to było dla chłopców sierociniec, tam wewnątrz, a ten tutaj, gdzie teraz jest to pedagogiczne, tam było

właśnie dla dziewcząt i siostry te dziewczęta tam wychowywały. To było dla tych, którzy nie mieli rodziców. Ja bardzo dobrze pamiętam ten sierociniec ze względu na to, że u nas na każde święta moi rodzice brali dwoje czy troje dzieci do siebie na Święta. Pamiętam nawet nazwiska niektórych. Niektórych spotykam do dzisiejszego dnia, tych którzy tam byli w tym sierocińcu. Te dziewczęta, pamiętam, zawsze denerwowałem się, bo myły okna i potrafiły wejść na drugie piętro, a przecież to jest bardzo niebezpieczne, bo one wszystko robiły. Bo to nie było tak jak dzisiaj w sierocińcu, że są pracownicy i wszystko robią. Tam było tak, że wszyscy, którzy tam mieszkali musieli to wszystko robić. Ja widziałem np. takie sytuacje, że przywozili węgiel czy kartofle, wszyscy, te dziewczęta dla swojego domu, chłopcy dla swojego domu, wewnątrz, bo tym się zajmowali Dominikanie, tam zresztą pletli koszyki i uczyli się stolarstwa. Pamiętam, właśnie Starzyński Tadeusz, to jeden z tych, którzy tam właśnie był i jeszcze jego brat, to było dwóch braci i oni właśnie przychodzili do mnie do domu. Bardzo mili chłopcy. Dzisiaj nie żyją oni, ale bardzo długo żeśmy się przyjaźnili ze sobą. Zresztą ich uważałem za ludzi takich bardzo sobie bliskich. Spotykaliśmy się prawie jak członkowie rodziny... W ogóle ta ulica, to wszystko w ogóle to żyło. To nie jest takie jak dzisiaj, że młodzież to sobie siedzi przy telewizorach, ja to nie mówię z wyrzutem, bo wiem, że wszystko musi iść na przód... ale nie było możliwości takiej patrzenia w telewizor, tylko ta ulica żyła, bo tylko każdy grał w klasy na tej ulicy, każdy chciał dostać się do tego kina, którego właścicielem był pan Makowski i czasami robiliśmy wszystko, żeby się można było dostać do tego kina. W kinach było w ten sposób, że kupowała pani bilet i mogła pani siedzieć od samego początku do końca. To nie to tak jak teraz, że na seans tylko. Mogła pani przyjść w połowie i znowu ciągnąć do samego końca. Zresztą nie było tak dużo ludzi.

Data i miejsce nagrania	2000-02-07, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"